

Wspomnienie pani prof. **Barbary Mossakowskiej**,
nauczycielki łaciny w latach 1945-81.

Gdy mam rozpocząć wspomnienia o mojej pracy w Topolówce we Wrzeszczu w latach 1945-1981 nie mogę się powstrzymać od wspomnień wcześniejszych, do których obecnie, jako osoba już w podeszłym wieku, tak często wracam myślami.

Bowiem wspomnienia te, o których powiem są treścią moich młodzieńczych lat, a te tkwią najsilniej i najmilej w mej pamięci. Pierwszym wspomnieniem będą lata moich studiów na Wydziale Filologii Klasycznej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w latach 1932-1936, lata ciężkiej, mozolnej pracy, ale uwieńczone pracą magisterską. Do dziś jeszcze utrzymuję kontakty z trzema moimi koleżankami ze studiów w Lublinie.

W 1936 roku rozpoczęłam trzyletnią praktykę pedagogiczną w gimnazjum żeńskim p. Wacławy Arciszowej, w gimnazjum, w którym otrzymałam maturę. A więc w zaraniu mej pracy szkolnej spotkałam się z ciepłem i serdecznością Grona Nauczycielskiego, którego duszą była pani Arciszowa i wspaniały Dyrektor pan Antoni Krzyżanowski (rozstrzelany przez Niemców w pierwszej dziesiątce zakładników na Zamku w Wigilię Bożego Narodzenia w 1939 roku).

Pani Wacława Arciszowa znana była w Lublinie ze swej działalności oświatowej, którą prowadziła od wielu lat w Nałęczowie z ludźmi tej miary jak Stefan Żeromski, Bolesław Prus, Gustaw Daniłowski, Faustyna Morzycka (siostra pani Arciszowej) i wielu innych. Ten okres mojej pracy wspominam bardzo mile.

Potem przyszła wojna i ciężkie lata okupacji niemieckiej. Żeby ochronić się od wywózki do pracy w Niemczech lub obozu, przyjąłm pracę kelnerki w kawiarni, ale jednocześnie po pewnym czasie powierzono mi tajne nauczanie języka łacińskiego grupy uczniów klas maturalnych, których trzeba było doprowadzić do matury. Prowadziłam te lekcje w różnych domach prywatnych przez jeden rok i dziewięć miesięcy. Było to bardzo niebezpieczne i zawsze groziło wysypą. Ale jakoś się to udało i z dobrym wynikiem. Dzięki tej pracy jestem od lat członkiem Związku Kombatantów RP.

Nadszedł rok 1945, rok wyzwolenia i decyzja mojego męża o wyjeździe do Gdańska z zadaniem organizacji sądownictwa. Dla mnie radość ogromna, bo mam propozycje nauczania języka łacińskiego w nowootwartym liceum już z numerem III przy ulicy Topolowej we Wrzeszczu.

Już w mieszkaniu Dyrektora Ignacego Zysa dokonywano zapisu uczniów, gromadzono kadrę nauczycielską, przygotowywano gmach szkoły odzyskany po połowym szpitalu radzieckim, straszliwie zdewastowany.

Przygotowywanie więc gmachu, który był starym gimnazjum realnym niemieckim, trwało przez cały miesiąc październik, dlatego lekcje mogły się rozpocząć dopiero po pierwszym listopada 1945 roku.

Ten 5-letni okres pracy pod dyrekcją Dyrektora Zysa pamiętam jako bardzo pozytywny, mimo że warunki pracy były bardzo ciężkie. Było zimno, głodno, budynek bez ogrzewania, bez światła, 2 ciągi nauczania – jeden ranny dla młodzieży młodszej i wieczorowy dla starszej, klasy były przepełnione, brakowało podręczników, bazowaliśmy na starych przedwojennych, wieczorowe lekcje – przy świeczkach.

Ale z czasem wszystko dochodziło do normy, dzięki ogromnej gospodarności i zapobiegliwości Dyrektora. Prężna była również praca Komitetu Rodzicielskiego.

Dyrektor był nie tylko wspaniałym gospodarzem, ale przede wszystkim pedagogiem. Z wykształcenia matematyk – fizyk, znał wiele języków, znał się na wielu przedmiotach i praca Jego polegała również i na wychowaniu kadry nauczycielskiej i uczniów. Wszystkim stawiał wymagania jasne i precyzyjne, ale stanowcze. Komu się to nie podobało, mógł odejść z „Klasztoru Ojca Zysa” – jak złośliwie nazywano naszą szkołę.

A w tym „Klasztorze Ojca Zysa” nie tylko była ciężka praca, ale i bardzo przyjemne, towarzyskie zebrania z różnych okazji, a nawet potańcówki i wyjazdy w teren na odpoczynek.

A teraz kilka słów o osiągnięciach kulturalnych tego okresu. Oprócz normalnego programu szkolnego powstawały różne koła przedmiotowe, powstał bardzo liczny chór szkolny oraz jedyna na Wybrzeżu orkiestra szkolna prowadzona przez bardzo oddanego młodzieży mgr. Władysława Prystupę, powstało Koło Teatralne prowadzone przez panią Mieczysławę Siarczyńską, Sekretarkę szkoły. Ten teatr w krótkim czasie wystawił sztukę „Śluby panięskie” Fredry. Na przedstawienia zapraszano młodzież różnych szkół oraz rodziców, a dochody z przedstawień szły na uzupełnianie potrzeb teatru i orkiestry. I teatr i chór, a zwłaszcza orkiestra bardzo urozmaicały nasze szkolne życie. Każdej niedzieli wymarsz całej szkoły z orkiestrą na czele na szkolną Mszę św. o godzinie 9 budził ze snu cały Wrzeszcz, gdy młodzież wraz z Dyrektorem i Gronem Nauczycielskim maszerowała do kościoła na ulicy Czarnej.

To się późniejszym władzom nie bardzo podobało, toteż, gdy w 1950 roku powstał projekt połączenia naszej szkoły z podstawówką celem utworzenia 11-latki, Dyrektor Zys nie zgodził się na to i zrezygnował z pracy wyjeżdżając do Warszawy.

Utworzenie 11-latki było dla nas koszmarnie, tyle klas i dzieci w tak ciasnym gmachu, a więc praca na dwie zmiany. Wielu nauczycieli odeszło, dyrektorzy zmieniali się niemal co kilka lat, cała praca kulturalna upadła. Na szczęście ten pomysł połączeniowy nie trwał długo i liceum wróciło do normalnej pracy, ale dawne życie kulturalne szkoły już nie prędko odżyło.

Tak oto w wielkim skrócie przebiegało pierwsze 5-lecie szkoły, która w obecnym roku obchodzi 50-lecie swego istnienia.

Wiemy, że szkoła cieszy się wśród społeczności gdańskiej wielkim uznaniem, że wychowała wielu absolwentów, którzy stoją dziś na wysokich i odpowiedzialnych stanowiskach, że są między nimi zasłużeni uczeni i pracownicy różnych resortów...no i że wielu z nich prowadzi do Topolówki już nie tylko swoje dzieci lecz i wnuki!!!

A więc życzymy naszej Topolówce dalszego rozkwitu i wiele pomyślności na następną „Pięćdziesiątkę”. Vivat, Creseat, Floreat!

Wspomnienie **Lecha Cybulskiego**, inżyniera chemika,
absolwenta „Topolówki” z 1950 r.

Jak stałem się pierwszym przyjętym do topolówki uczniem?

Ojciec mój został delegowany do Gdańska bezpośrednio po wyzwoleniu tj. od 3 kwietnia 1945 r. w celu współpracy przy organizowaniu służby farmaceutycznej. Ja natomiast kończyłem 1 klasę w Pruszkowie k/W-wy. W czerwcu 1945 r. ojciec wystarał się o zezwolenie dla mojej matki i dla mnie na odbycie lotu samolotem należącym do wojska z Warszawy do Gdańska. Loty te były nieregularne, oczywiście bez rozkładu godzinowego.

W tym celu przybyliśmy z matką w określonym dniu na lotnisko Okęcie i wraz z grupą kilku osób oczekiwaliśmy na start samolotu, siedząc na trawie na lotnisku. W tej grupie osób był mężczyzna, z którym moja matka nawiązała rozmowę. Matka, z zawodu nauczycielka, okazało się, że rozmawia również z nauczycielem. Nowo poznanym był Pan Ignacy Zys udający się do Gdańska ze skierowaniem objęcia dyrekcji gimnazjum i liceum na ul. Topolowej we Wrzeszczu. Była to pierwsza podróż do Gdańska i nie znał realiów dotyczących szkoły, ale dowiedziawszy się, że jestem po ukończeniu 1 klasy gimnazjum i pozostaję w Gdańsku, natychmiast oświadczył, że przyjmuje mnie jako pierwszego ucznia po uruchomieniu szkoły.

Matka moja była zadowolona z takiego obrotu sprawy, gdyż Pan Zys bardzo przypadł Jej do gustu. Nabór do szkoły odbył się na lotnisku!

Zobowiązania matki i dyrektora zostały dotrzymane i po wykonaniu prac porządkowych w szkole głównie przez potencjalnych uczniów w trybie społecznym, na początku listopada 1945 r. rozpocząłem naukę w drugiej klasie gimnazjum, gdzie wychowawczynią była Pani Barbara Mossakowska.

Maturę otrzymałem w roku 1950 z rak dyrektora szkoły Pana Ignacego Zysa.

Warto zaznaczyć, że z faktu bycia pierwszym uczniem nowej szkoły w niczym nie służył jakimkolwiek faworyzowaniu mnie, a za kilkakrotne przekraczanie regulaminu szkolnego byłem zawieszany w prawach ucznia. Po wezwaniu rodziców przywracana mnie do społeczności uczniowskiej.

Wspomnienie **Jerzego Geberta**, lekarza, dziennikarza i sprawozdawcy sportowego, absolwenta „Topolówki” z 1949 r.

Wśród uczniów nielicznych jeszcze w tamtych latach 40-tych gdańskich gimnazjów, **TOPOLÓWKA** cieszyła się nie najlepszą sławą. W tuż powojennym rozluźnieniu i rozbuchaniu była wszak prawdziwą oazą ładu, dyscypliny i rygoru – jakby kontynuacją przedwojennych szkolnych porządków. Nic dziwnego zatem, że powszechnie zwano ją „Klasztorem Ojca Zysa”, w którym np. obowiązywały specjalne, szkolne granatowe czapki z niebieskim otokiem, codzienne apele przed pierwszym dzwonkiem czy też ostentacyjna (ale tylko zewnątrz) surowość ciała pedagogicznego. A już prawdziwym ewenementem – w skali co najmniej wojewódzkiej – była własna, uczniowska orkiestra dęta, prowadząca szkołę na wszystkie miejskie pochody i uroczystości. Chodziły także słuchy, że Pan Dyrektor Ignacy Zys nie przepada za sportem, co dla mnie – piłkarskiego juniora LECHII i lekkoatlety Harcerskiego Klubu Sportowego – było już poważnym ostrzeżeniem. Nie było jednak innego wyjścia – rodzice zaplanowali mi studia medyczne, a jedyne liceum z klasą przyrodniczą w Gdańsku funkcjonowało właśnie przy ul. Topolowej.

Tak więc w 1947 roku, po tzw. „małej maturze” w „Dwójce” przy Jaśkowej Dolinie, mocno wystraszony przekroczyłem progi sławetnego „klasztoru”. I, jak się wkrótce przekonałem, wcale nie było źle – szkoła od razu dała się polubić, profesorowie (z małymi wyjątkami) okazali się naszymi życzliwymi przyjaciółmi, a Dyrektor Ignacy, choć sportu nie miłował, doceniał jego znaczenie w procesie wychowawczym. Bardzo szybko odnalazłem się więc w swoim sportowym żywiole i - już jako prezes SKS-u - postawiłem na piłkę ręczną, zwaną wówczas szczypiorniakiem. Zorganizowałem rozgrywki wewnętrzzszkolne, których popularność przeszła najśmielsze oczekiwania.

Przez dwa lata „szaleństwo” to ogarnęło całą szkołę od Dyrektora Zysa począwszy, a na woźnym panu Antonim skończywszy. Rozgrywki o mistrzostwo szkoły toczyły się ligowym systemem „każdy z każdym”, a brało w nich udział tyle drużyn, ile klas gimnazjalnych i licealnych liczyła sobie wtedy nasza dostojna „Stara Budzia”, zamykająca od strony lasu wylot ulicy Topolowej we Wrzeszczu. Krótko mówiąc – blisko 15 drużyn! Grać w reprezentacji klasy było nie lada zaszczytem, o który ubiegali się wszyscy – nawet największe klasowe oferny. Chłopcy z zapałem trenowali na wszystkich lekcjach WF-u z przyzwoleniem profesora Michała Sedlera, który w związku z tym mógł się oddawać słodkiemu nieróbstwu. A codziennie po lekcjach, na szkolnym podwórzu, pełniącym funkcję boiska, odbywały się zacięte mecze. Słupkami bramek były otaczające placzyk drzewa, a ich pierwsze odrastające w bok konary, stanowiły raczej umowną poprzeczkę. Boisko było mocno piaszczyste i w dodatku pochyłe, tak że przez jedną połowę meczu trzeba było ciężko pchać się pod górkę, aby zagrozić bramce przeciwnika. Cóż to były jednak za przeszkody?! Najważniejsze, że się

grało, że strzelało się bramki wśród ogłuszającej wrzawy kibicujących kolegów, a szczególnie koleżanek. A na drugi dzień, już od samego rana, przed aktualnymi wynikami i tabelą rozgrywek gromadziły się w korytarzu na drugim piętrze coraz to nowe grupy kibiców i zawodników, zawzięcie dyskutujących o szansach swojej drużyny. O niczym innym nie mówiło się także na wszystkich przerwach. To była dopiero sportowa atmosfera! Przez długich 6 lat okupant zabraniał polskiej młodzieży uprawiania sportu – jakże zachłannie chcieliśmy te straty odrobić! Tu nieskromnie muszę wtrącić, że przez dwa lata tytuł mistrza TOPOLÓWKI nieprzerwanie dzierżyła nasza I-sza, a potem II-ga klasa przyrodnicza.

Ale prawdziwymi bohaterami szkoły byli jej reprezentanci, występujący w żółto-granatowych strojach, zakupionych oczywiście za własne „kieszonkowe”. Pierwsze mecze międzyszkolne rozgrywaliśmy z sąsiedzką „Dwójką” z Wrzeszcza, „Czwórką” z Nowego Portu i „Jedynką” z Gdańska, ale byli to zbyt słabi dla nas rywale. Przede wszystkim zbieraliśmy siły na sławne „Conradinum”, które także gromiło wszystkie zespoły szkolne. Zagraliśmy z nimi w finale szkolnych mistrzostw Wybrzeża na stadionie w Lęborku w 1948 r. Do przerwy było jeszcze dobrze – wynik brzmiał 1:1, ale w drugiej połowie zupełnie zabrakło nam tchu. Nie pomogła ogromna ofiarność i ambicje Zbyszka Łukaszewicza, Jurka Kowalika, Edka Labuhna, Funia Franczaka, Czeška Taraszkiewicza, Jurka Antkowiaka, Sitkowskiego, Frankowskiego i Jaroszewicza, a także niżej podpisanego kapitana drużyny. Starsi i silniejsi fizycznie chłopcy z „Conradinum” wlepili nam jeszcze cztery „gały”. Graliśmy z nimi później kilkakrotnie, ale tylko raz udało się nam zwyciężyć. Kilku z nas występowało także w szkolnej reprezentacji okręgu gdańskiego na mistrzostwach Polski w Warszawie, gdzie dotarliśmy aż do półfinału, przegrywając tam tylko 3:5 z bezkonkurencyjnymi w szczypiorniaku Katowicami.

Tak, w owym czasie sport w TOPOLÓWCE stał przede wszystkim szczypiorniakiem. Ale dziś 60-letnia „Staruszka” pochwalić się może także innymi wybitnymi uczniami – sportowcami najwyższego lotu. Należą do nich przede wszystkim olimpijczycy: Andrzej Grubba – mistrz Europy w tenisie stołowym i Andrzej Krześciński (mąż słynnej „Złotej” Eli) – mistrz i rekordzista Polski w skoku o tyczce, a także I-szoligowy bokser GEDANII – Jerzy Antkowiak, I-szoligowi piłkarze ręczni: Jerzy Kowalik, Henryk Konefał i znany dziś chirurg-ortopeda Paweł Cieśla, czy piłkarz LECHII, uczestnik słynnego meczu z „Juventusem” – Roman Józefowicz.

Trzeba też koniecznie pamiętać o moich koleżankach z klasy: Lilce Edelman, Teresie Ławrynowicz i Ewie Bąkowskiej, które współtworzyły pierwszą drużynę I-szoligowych koszykarek gdańskiej SPÓJNI, czyli prapoczątki żeńskiej koszykówki na Wybrzeżu, wieńczone dziś wspaniałymi sukcesami gdyńskiego LOTOS-u. Od nich to się zaczęło

Wbrew wszystkim początkowym strachom i oporom, TOPOLÓWKA okazała się fajną „budą”, z którą żal było się rozstawać i którą do dziś zachowałem w nader wdzięcznej pamięci. Do tego stopnia, że stała się ona pokoleniowo-rodziną szkołą Gebertów. Kończyli ją córka Kasia (w 1978 r.), syn Wojtek (w 1982 r.), w tym – jubileuszowym – wnuczka Kaja, a nauki pobiera w niej jeszcze wnuk Szymon Zarembowie.

Wspomnienie **Barbara Nowak-Kalińskiej**, mgr farmacji,
absolwentki „Topolówki” z 1950 r.

Moje wspomnienia z „Topolówki” z lat 1947-1950

„TOPOLÓWKO”! Masz już 60 lat,
Lecz dla mnie – wbrew prawom natury –
Będiesz zawsze miała, wiek mojej matury!

(Waldemar Krupowicz, mój kolega z „Topolówki”)

Jako absolwentka-seniorka „Topolówki” pragnę podzielić się niektórymi, swoimi wspomnieniami z lat nauki w tej wspaniałej szkole.

Maturę w „Topolówce” uzyskałam w 1950 r. czyli dokładnie 55 lat temu, wraz z 60-ma koleżankami i kolegami. W szkole tej, poza 4-ma klasami gimnazjum były 2 klasy licealne: jedna o profilu przyrodniczym, druga o profilu matematyczno-fizycznym. Ja chodziłam do klasy przyrodniczej, gdzie byłam przewodniczącą samorządu klasowego. Wychowawczynią naszą była wspaniała pedagog ś.p. prof. Mossakowska (łacinniczka). Lata nauki w tej szkole wspominam z największym sentymentem i radością, i do dziś jestem dumna, że byłam jej uczennicą. Mam też świadomość, a nawet pewność, że pozostałe koleżanki i koledzy mają podobne odczucia w stosunku do tej szkoły jak ja!

Z tej 60-tki maturzystów, żyje nas jeszcze 35 osób i choć losy rzuciły nas w różne strony kraju, a nawet świata, utrzymujemy ze sobą serdeczny kontakt, o czym niech świadczy fakt, że na zjazd maturzystów naszego rocznika, który miał miejsce w 2002 r. w Gdańsku przybyły aż 33 osoby. Było wiele miłych wspomnień i wzruszeń.

Co jeszcze warte jest przypomnienia to to, że w naszych czasach szkołę na ul. Topolowej zwano „Zakodem Ojca Zysa”, a to dla wielkiego rygoru, porządku i dyscypliny, jakie tam panowały. Dyrektorem właśnie był pan Ignacy Zys, wspaniały organizator, pedagog i zarządca szkoły. Uczniów trzymał „żelazną ręką”, ale i zarazem też był sprawiedliwy, a kiedy trzeba wyrozumiały. My uczniowie tak przywykliśmy do tej dyscypliny, że wcale nie wydawała nam się straszna nauka w tej szkole, bo i też, mimo tych dużych wymagań czuliśmy nieustanną opiekę nad nami i Dyrektora, i całego grona pedagogicznego. Dlatego też, nawet schlebiali nam, jak nazywano nas „dziećmi Ojca Zysa”.

Co zaś się tyczy grona profesorskiego, to też byli to wspaniali ludzie o dużej charyzmie, kulturze i profesjonalnym przygotowaniu zawodowym (przeważnie kształceni przed wojną). Wzbudzali w nas nie tylko szacunek, ale i sympatię mimo, że „cisnęli strasznie”. Ale nie tylko dziś, z perspektywy czasu, lecz chyba już i wówczas rozumieliśmy, że to dla naszego dobra. No i faktycznie, tak nas przygotowali „naukowo”, że my absolwenci, nie mieliśmy żadnych problemów z dostaniem się na studia wyższe. A dostało się nas na uczelnie prawie 100 %, przeważnie na Politechnikę Gdańską i Akademię Medyczną. I dziś są wśród nas nie tylko wspaniali lekarze, farmaceuci czy inżynierowie, ale nawet i profesorowie szkół wyższych. Z pewnością więc zaprocentowało nie tylko solidne nauczanie nas przedmiotów programowych, ale i osobisty przykład Dyrektora i wszystkich profesorów.

Jeszcze pragnę podkreślić, że w tej szkole nie tylko uczono nas ale i wychowywano, wpajając takie ideały i wartości jak patriotyzm, przyjaźń, koleżeństwo, solidarność – czyli zwracano uwagę na wszystko to, co konieczne do radosnego i godnego życia. Jesteśmy za to bardzo wdzięczni.

Kiedyś, jeden z profesorów „Topolówki” wpisał mi „ku pamięci” do pamiętnika te słowa A. Mickiewicza: „Miej serce i patrzaj w serce”. Ja zaś teraz na koniec tych wspomnień, też je chcę powtórzyć za nim, bo pragnęłabym, by to wezwanie naszego największego wieszca było przesłaniem i drogowskazem na całe życie dla wszystkich absolwentów „Topolówki”.

Będąc nadal w ciągłym kontakcie z „Topolówką” pragnę z uznaniem i wdzięcznością odnieść się do obecnej Dyrekcji i całego Grona Pedagogicznego III LO w Gdańsku za godne podtrzymywanie dawnych szczytnych tradycji, a ponadto także szczerze, serdecznie pogratulować tego, że w rankingu szkół średnich na najlepszą szkołę w Polsce „Topolówka” pod kierownictwem Pani Dyrektora Grażyny Boguszy zajęła I-sze miejsce w Kraju! To wielkie, chwalebne osiągnięcie. I życzę „trzymać tak dalej”.

Wspomnienie Teresy Marciniak,
absolwentki „Topolówki” z 1958 r.
(przedruk za „Pulsem Ełku” nr 11 z 17.03.2004 r.)

Pierwsze miejsce w skali kraju (wg Newsweeka) zdobyło III Liceum Ogólnokształcące im. Bohaterów Westerplatte z Gdańska-Wrzeszcza, czyli „Topolówka”, ponieważ szkoła znajduje się przy ulicy Topolowej 7. Dobrze ten adres pamiętam, bo to była moja szkoła. Za moich czasów, a było to dosyć dawno, było tam osiem oddziałów, ciąg A z językiem angielskim i B z łaciną (to właśnie mój). Nauczyciele znali nas na wylot. Ta ich wiedza o nas wielu bardzo pomogła. Lepiej od nas orientowali się, do czego się nadajemy i co moglibyśmy w życiu robić. Przesiewali nas bezwzględnie w pierwszych latach, ale na maturze wpadki były bardzo sporadyczne. Kiedy rozpoczynałam naukę w VIII B – a był to system klas VIII-XI – było nas aż 47. Maturę zdawało 28, ale w międzyczasie doszło 5 drugorocznych. Czyli cięli po połowie. W szkole ciągle coś się działo. Przede wszystkim sport. Były trzy boiska, niezła sala gimnastyczna, górka do jazdy na nartach zwana Wulkanem, wycieczki w Tatry, na Mazury. Ponadto zabawy, konkursy, chór szkolny, koncerty itd. Ale przede wszystkim nauka. Wymagania były bardzo duże. W zasadzie ciągle trzeba było coś czytać, rozwiązywać, wkuwać gramatykę łacińską i bez szczególnej motywacji odmieniać „siła, ziemia, armia”.

Wielu z naszych pedagogów pracowało na uczelniach: w Akademii Medycznej, na Politechnice, czy WSP, która później przekształciła się w Uniwersytet Gdański. Ale byli też wspaniali nauczyciele, np. matematyki, polonista. W ogóle mieliśmy szczęście do ludzi, których nie nudził wykonywany zawód. Topolówkę skończyło wielu sławnych dziś profesorów, kapitanów Żeglugi Wielkiej oraz znanych ludzi, jak polityk Wiesław Walendziak, aktorki Dorota Stalińska i Grażyna Wolszczak, miss Polonia Aneta Kreglicka, dziennikarze Piotr Semka i bracia Kurscy, reżyser Maciej Dejczer, tenisista stołowy Andrzej Grubba i Adam Hodysz – Konrad Wallenrod „Solidarności”, a także, pełniący dziś wysokie stanowiska w województwie pomorskim, Jan Zarębski i Tomasz Sowiński. W naszym województwie (warmińsko-mazurskie) znam tylko dwie osoby z Topolówki. To pani doktor Teresa Drawert z Gołdapi i ...Tomasz Marciniak, mój mąż. Być może jest nas więcej?

Z ogromną przyjemnością wspominam moją szkołę (...). Dobra szkoła średnia to baza, podstawa późniejszego kształcenia w jakimkolwiek kierunku. Tam tworzą się poglądy na wiele spraw ważnych, tam dojrzewa człowiek. Och, szkoło, szkoło, gdy cię wspominam...

Wspomnienie pani prof. Salomei Retman (Wysockiej),
nauczycielki matematyki w latach 1960-92.

Pracę rozpoczęłam w 1960 roku w Gdańsku w III Liceum Ogólnokształcącym zwanym „Topolówką”. Moja pierwsza klasa, której byłam wychowawczynią, to ludzie urodzeni w 1946 roku. Ich rodzice przeżyli koszmar wojny, więc swoje dzieci wychowywali w poszanowaniu prawdziwych wartości, takich jak bezinteresowna przyjaźń i dobro.

Rok 1963 to był rok przedłużonych wakacji. Jeden miesiąc uczyliśmy się w Jastrzębiej Górze – „to były piękne dni”. Do naszej szkoły uczęszczali zawsze wspaniali i mądrzy uczniowie, wiele się od nich nauczyłam.

III LO przeżywało także trudne lata, lecz nasi uczniowie zawsze okazywali się godni miana wychowanków Szkoły im. Bohaterów Westerplatte. Wielu z nich musiało bronić „swojego własnego Westerplatte”.

Kiedy żegnaliśmy naszych maturzystów, to zawsze wiedziałam, że Polska nie zginie, skora w świat idzie tylu porządných, młodych ludzi. Dzisiejsza młodzież też budzi moją wielką sympatię.

Do końca 1992 roku pracowała w „Topolówce” i sprawiało mi to zawsze dużo radości. Dziś jestem dumna z naszych wychowanków.

Wspomnienie **Jana Wejcherta**, prezesa Grupy ITI,
absolwenta „Topolówki” z 1967 r.

Nie mam żadnych wątpliwości, że lata spędzone w „Topolówce” to lata najważniejsze dla mojej edukacji i kształtowania się mojej osobowości.

Miałem ogromne szczęście mieć takich znamienitych nauczycieli, jak prof. Tebinka, prof. Salamon i wielu innych – wszyscy oni byli niezwykle zaangażowani w swoją misję uczenia i tworzyli znakomity klimat dla nauki i wewnętrznej integracji.

Poziom nauczania stał na najwyższym poziomie, czego najlepszym dowodem było to, że prawie wszyscy uczniowie mojej klasy zdecydowali się studiować i dostali się na wybrane uczelnie.

Z nostalgią wspominam obowiązkowe mundurki, krótko przystrzyżone włosy, berety...

Już wówczas byliśmy wszyscy dumni, że „chodzimy do Topolówki”, a tym bardziej dzisiaj, gdy szkoła obchodzi swoje 60-lecie jesteśmy dumni, że jesteśmy jej absolwentami.

Alfabet **Janusza Daszczyńskiego**, wiceprezesa zarządu Telewizji Polskiej S.A.
w latach 1994-98, absolwenta „Topolówki” z 1971 r.

A

Antonowicz, Becla, Bogdańska, Daszczyński, Furgala, Grzegorzewski... Jeszcze dzisiaj, po latach, potrafię z pamięci wymienić nazwiska moich koleżanek i kolegów w kolejności, w jakiej byliśmy zapisani w dzienniku. Stąd też pomysł „alfabetycznych” wspomnień.

B

Babcia (Irena Brogowska) – tak nazywaliśmy naszą matematyczkę. Oj, dała nam się we znaki, ale nie sądzę, aby ktokolwiek wspominał ją bez rozrzewnienia.

C

„Cristal” – bar, do którego chodziliśmy, gdy mieliśmy trochę gotówki. Sztandarowe dania: sałatka jarzynowa lub śledzik. Czasami – o zgrozo – piwko.

D

Dyrektor Janusz Tebinka - surowy i kochany zarazem. Pamiętam jego zamiłowanie do tarcz, beretów i fartuszków oraz niechęć do dziewczynskich makijaży. Wspaniały człowiek.

E

Ekscentrycy. Tak nazywana była grupa, którą zorganizowałem w szkolny zespół muzyczny. Może dlatego, że mieliśmy specjalne zezwolenie na dłuższe włosy. Poza tym musieliśmy wybierać: albo gitara, albo koszykówka. A wtedy w szkole królował sport.

F

Fizyka to nasza ówczesna z mora. Pamiętam lekcję, podczas której tłumaczyliśmy działanie magnetofonu tajemniczymi rysami na taśmie. Miały one być rzeźbione przez głowicę (REC), a później odczytywane (PLAY). Mimo to ukończyłem politechnikę (nawet elektronikę) z piątką na dyplomie.

G

Grudzień 1970. Ten obraz mam w sobie do dzisiaj. Mimo zakazów jeździliśmy do Gdańska, by obejrzyć nadpalone piętra Komitetu Wojewódzkiego PZPR. W powietrzu unosił się jeszcze gaz łzawiący.

H

Higiena - nie ma już chyba takiego przedmiotu. Nasza nauczycielka, Konczita (od Conchity Bautisty z sopockiego festiwalu), wprowadzała nas naukowo w tajniki seksualności. Śmiechu było co niemiara.

I

Irena Salamon (Salomonka) – rusycystka, nasza wychowawczyni. Miała z nami „siedem światów”. Ale zawsze była sprawiedliwa. Na pogrzebie żegnaliśmy ją ze łzami w oczach.

J

„Jack can't touch the top of the door” – to ulubiona fraza naszego anglisty. „Pędzel” (tak o nim mówiliśmy między sobą) pokazywał ją z lubością na jednej z wielu tablic, jakie nosił na lekcje.

K

Kariera – nikt z nas nie słyszał wtedy o „wyścigu szczurów”. Mieliśmy swoje ambicje, a jakże, ale nie za wszelką cenę. I na pewno nie kosztem przyjaciół.

L

Ledwo wychodziliśmy ze szkoły, już lądowaliśmy w moim mieszkaniu przy Partyzantów. Miałem tam własny pokój i niezły, choć amatorski sprzęt (adapter Delta i kolumny z „piątek”). Godzinami słuchaliśmy muzyki Janis Joplin i Jimmi Hendrixa.

Ł

Łatwo nie było, ale robiliśmy co się dało. Pamiętam, że punkt w sprawdzianie z biologii otrzymał kolega, który napisał, że zainteresowała go ostatnio książka „Życie w akwarium” autorstwa Toma Jonesa.

M

Multimedialna sala – pomieszczenie na stryżku szkoły, które na moich oczach zamieniło się w nowoczesne (jak na tamte czasy) centrum audiowizualne. Z prawdziwym projektorem 16 mm.

N

Nigdy nie zdarzyło coś takiego, czego musiałbym się teraz wstydzić. To była dobra szkoła. I wiem, że taką pozostała.

O

OHP. Po jednym z takich obozów nasi rodzice zostali pilnie wezwani do szkoły, by usłyszeć o naszych szalonych pomysłach. Pisaliśmy wyjaśnienia, ale na nic się to nie zdało. Z uwagi na współczesnego czytelnika (moja córkę Olę) nie będę rozwijał tego wątku.

P

Poezja śpiewana. Tą grupą dowodził Marek Prusakowski. Byli bardzo sentymentalni. A my stawialiśmy raczej na Rolling Stonesów, Animalsów i Beatlesów. Co nieco rywalizowaliśmy, ale – jak myślę – lubiliśmy się nawzajem.

R

Rajdy po Polsce. Cała szkoła pakowała się we wrześniu na tydzień do specjalnego składu pociągu (pewnie dzięki Tomkowi Czabańskiemu, którego ojciec był szefem pomorskiej DOKP). W ten sposób przez cztery lata zwiedziliśmy cały kraj.

S

Stalińska. Nieco młodsza, niezwykle energiczna koleżanka. Pamiętam, jak Dorota śmigała na wrotkach po korytarzach szacownej Topolówki. A obowiązywały wówczas papcie...

T

Topolanie – zespół muzyczny w składzie (spisuję w kolejności umieszczonej na ówczesnym plakacie): Zdzisław Napora (śpiew), Janusz Daszczyński (gitara prowadząca), Marek Grzegorzewski (gitara rytmiczna, śpiew), Piotr Sawras (gitara basowa), Ryszard Korejwo (perkusja). Przez chwilę grał z nami także Maciej Dejczer. To jedno z najfajniejszych wspomnień z tamtych lat.

U

Ulubionym nauczycielem nas wszystkich był rusycysta, Wiktor Antonowicz. Szczególnie wtedy, gdy udawał groźnego.

W

„Warszawa” – samochód dyrektora, rozklekotany jak żaden inny na świecie. Zrobiłem na nim prawo jazdy.

Z

Zawsze będę z rozrzewnieniem wspominał lata spędzone w Topolówce. I tamte przyjaźnie (szkoda, że niezbyt pielęgnowane), i tamte doświadczenia (zbierane często bezwiednie). One pozostaną we mnie na zawsze. Cokolwiek by się nie działo.

Wspomnienie **Mariana Terleckiego**, reżysera i producenta telewizyjnego i filmowego, absolwenta „Topolówki” z 1973 r.

Od początku roku szkolnego 1971 wraz z Maciejem Grzywaczewskim, a przy współpracy Kasi Rozmarynowskiej i Radka Kraszewskiego z wielkim entuzjazmem przygotowaliśmy pierwszy numer szkolnego pisemka „Bodziec”. Byłem dumny, bo zostałem jego Redaktorem Naczelnym. Pierwszy numer ukazał się pod koniec września lub na początku października i był mozolnie wystukiwany na maszynie, a dodatkowo ręcznie ilustrowany. Miał trzy lub i więcej egzemplarzy. Pisemko miało charakter literacko-społeczny. Czytano je pod ławkami podczas lekcji oraz podczas przerw. Nie chwaliliśmy się nim przed nauczycielami, ale też nie uważaliśmy „Bodźca” za wielkie wykroczenie przeciw panującym normom i nie trzymaliśmy jego istnienia w tajemnicy. Tu i ówdzie słyszało się o pisemkach licealnych, tyle że najczęściej robionych do spółki z polonistami.

„Bodziec” jednak z numeru na numer radykalizował się. Od żartów z nauczycieli i nawiązywania do tradycji „Bim-bomu” doszliśmy do numeru wydanego w pierwszą rocznicę grudnia 1970. Zawierał m.in list gończy za „zbrodniarzem Kliszką” i wiersze poświęcone pamięci tragicznego grudnia.

Wkrótce potem nastąpiły niespodziewane wydarzenia. Z lekcji zostałem wezwany do gabinetu dyrektora Janusza Tebinki (nie pamiętam czy sam czy wraz z Maćkiem). Dyrektor był znany ze swej surowości oraz utrzymywania żelaznej dyscypliny. Zdarzało się, że głośno beształ ucznia na korytarzu, wykręcał mu ucho za drobne wykroczenie, wzbudzał respekt, a u wielu strach. Wezwanie do dyrektora nie mogło oznaczać niczego dobrego. I jak w takich sytuacjach bywa, zacząłem się domyślać, że chodzi o „Bodźca”.

Do gabinetu dyrektora wszedłem na gumowych nogach. I tu spotkało mnie coś zupełnie niespodziewanego. Dyrektor był spokojny, przyglądał się uważnie, trochę smutno. Powiedział „że pojedę na Okopową (siedziba Służby Bezpieczeństwa) na przesłuchanie. Na dole czeka samochód. Zrobił pauzę. Powiedział coś zwykłego w rodzaju: „Tak bywa”.

Nie był zły. Nie krzyczał. Nie zrobił żadnych uwag. Nie dał poznać, że zrobiliśmy coś złego. Odwrotnie. Jego zachowanie uświadomiło mi, że to co się dzieje nie ma jego aprobaty, ale nie może nic na to poradzić. Z gabinetu Janusza Tebinki wyszedłem uspokojony i pokrzepiony. Jadąc samochodem z cywilem z SB nie bałem się lub bałem się mniej.

Pierwsze w życiu, kilkugodzinne przesłuchanie, krzyk, straszenie wyrzuceniem ze szkoły nie działały na mnie. Okazało się potem, że przesłuchiwana była cała nasza czwórka. Nikt jednak nie próbował nas wyrzucić z liceum, w szkole nie dostaliśmy nawet upomnienia. Ale „Bodziec” – bo takie było podstawowe żądanie „panów” – przestał się ukazywać.

Od tej pory traktowałem Topolówkę jak rodzinę. Już nie tylko koledzy z klasy, grube chłodne mury, szum lasu wpadający przez okna, ale też świadomość, że w trudnych chwilach, ci którzy nas uczą nie zostawią nas samych. Mogą wydawać się czasem dziwni, mają swoje słabostki i śmieszności, ale prócz tego, że przekazują nam swoją wiedzę potrafią też nas bronić. To było bardzo cenne doświadczenie.

Wspomnienie **Grażyny Wolszczak**, aktorki, absolwentki „Topolówki” z 1977 r.

Miałam szczęście zdać do „Trójki” jeszcze za dyrekcji słynnego Janusza Tebinki. Legendy o nim krążyły od lat, a rzeczywistość pokazała, że ani trochę nie były przesadzone.

Już pierwszego miesiąca nauki takie oto doświadczenie: pusty korytarz szkolny w czasie lekcji, trzy koleżanki – ja wśród nich – w strojach galowych (pewnie z jakiejś akademii). Wybuchamy śmiechem, czymś nagle rozbawione, a zza węgła wyłania się budząca grozę postać. Pan dyrektor nawet na nas nie krzyczy, tylko zabiera do woźnego i rozkazuje wysprzątać pomieszczenia na węgiel. Po godzinie nasze białe bluzki są koloru pokrytych pyłem węglowym ścian piwnicy.

A potem już codziennie poranna adrenalina – będzie łapanka, czy nie. Uczniowie nerwowo wypatrywali charakterystycznej długiej, przygarbionej sylwetki, która i tak zawsze wyrastała jak z podziemi, sprawdzając czy tarcza przyszyta (na agrafkę się nie liczyło) i czy zniechęcony beret ze znaczkiem na miejscu (czyli na głowie, a nie w teczce).

Po dwóch latach mojej „trójkowej” edukacji dyrektor Tebinka odszedł, no i uczniowie odetchnęli. Było niestety już całkiem zwyczajnie, więc co tu wspominać?...

Wspomnienie **Andrzeja Grubby**, najwybitniejszego w historii polskiego tenisisty stołowego, absolwenta „Topolówki” z 1977 r.

Kiedy w 1973 roku rozpoczynałem naukę w „Topolówce”, ta cieszyła się reputacją szkoły o wysokim poziomie nauczania. Byłem dumny, że mogłem uczyć się w liceum dopieszczanym takim komplementem. Moja klasa o profilu biologiczno-chemicznym, okazała się być potwierdzeniem tej tezy: zdecydowana większość moich ówczesnych współklasistów ukończyła studia, najczęściej zresztą medyczne.

Miło czytać i słyszeć, że prestiż mojej „trójki” nic nie ucierpiał – wciąż należy do trójmiejskiej elity. I to jest największym zwycięstwem Jej Dyrekcji i Grona Pedagogicznego, potrafiących dotrzeć do coraz to nowych pokoleń licealistów. Dzisiaj, już jako mieszkaniec Sopotu, przejeżdżam czasami ulicę Topolową we Wrzeszczu aż do samej góry, by wspominać lata szkolne w klasie Pani Prof. J. Makarewicz. A były to dla mnie lata trudne i... fajne, bo spędzone w dobrej szkole!

I tak trzymaj, solenizantko!